

Barbara Gorzawska

Inny początek

— Jak leci? – Tesejja pojawiła się znikąd.

Uśmiechnęłam się sztucznie, kiwając nerwowo głową. Nie mogłam wyglądać swobodnie, ale nie potrafiłam wykrzesać z siebie nic więcej.

– Świetnie – skłamałam. – Zostały mi tylko niewielkie poprawki.

– Termin się zbliża – powiedziała tonem, jakby nie mogła się doczekać. – Jestem ciekawa, co wymyślisz tym razem.

To „tym razem” zabrzmiało, jakbym była odpowiedzialna za wszystko, co w jej rozumieniu było bezsensowne. Cóż za absurd, raptem połowa pochodziła ode mnie, reszta należała do innych. Poza tym tylko ona traktowała je jako niepotrzebne komplikacje, większość widziała w nich nowatorstwo i oryginalność. Nie rozumiała, że właśnie te bezsensy sprawały, że moje projekty były wybierane do realizacji.

– Będiesz musiała jeszcze trochę poczekać – zaszczebiotałam z udawaną radością.

Tesejja uśmiechnęła się uprzejmie, jednak wyraz jej oczu nie pozostawiał wątpliwości, nie wierzyła w mój geniusz. Na szczęście nie musiałam zbyt długo

udawać przesadnego zadowolenia ze swojego nieistniejącego jeszcze dzieła, bo odwróciła się i odeszła.

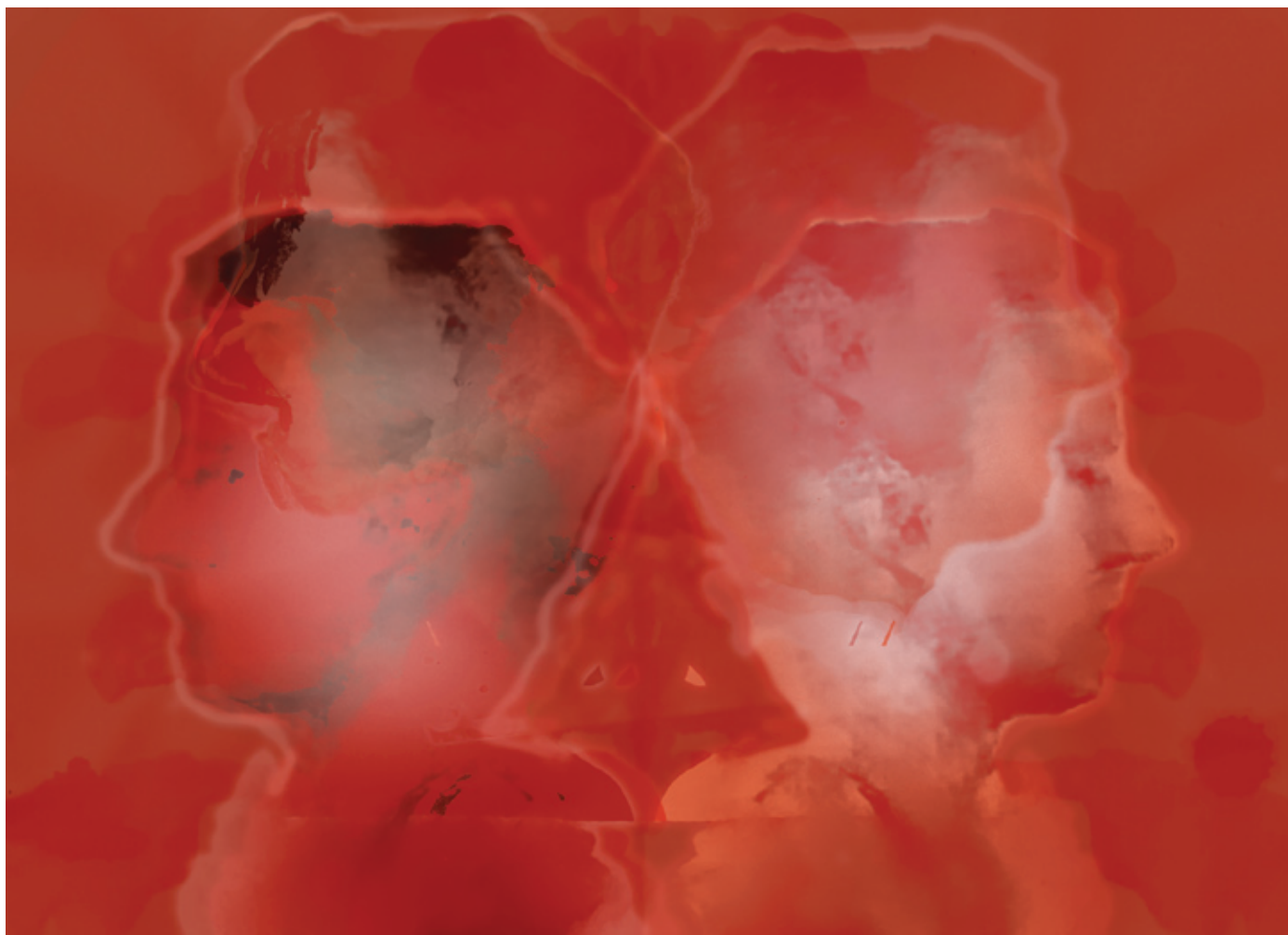
– Szczętuja – rzuciłam za nią, kiedy wreszcie uśmiech spelzł mi z twarzy.

Gdybym mogła, gdybym potrafiła, najchętniej zalałabym ją blaskiem mojej inwencji twórczej, przy której jej marne projekciki były niczym. Zanurzyłabym się w morzu geniuszu własnego umysłu, wylawiając perły i klejnoty, o których mogła tylko marzyć. Mogłabym to zrobić jeszcze do niedawna. Niestety od czasu przykrej sprawy z siedemnastym światem, nagle wszyscy patrzyli na mnie jak na oderwanego od rzeczywistości projektanta, który postradał wszystkie swoje talenty, przelewał na papier senne maligny. Było to niezwykle szokujące i niezmiernie przykre doświadczenie. I gdyby nie zbliżająca się wielkimi krokami Prezentacja, oddałabym się czystej, niezmażonej złości, jednak czas płynął, a ja...

Zrezygnowana sięgnęłam na półkę ze zwojami, wyjęłam nowy arkusz i rozwinęłam go zamaszystym ruchem. Wielka płachta zielononiebieskiej przestrzeni, na której nie było absolutnie nic. Do tej pory nie miałam najmniejszego problemu z jej zapelnieniem, jednak od czasu nieszczęsnej siedemnastki zaczęłam wątpić w swoje możliwości i po raz pierwszy w życiu doświadczałam bloka-

dy – absolutnego, paralizującego braku pomysłów. Nie miałam najmniejszej wizji, czy chociażby przeczucia, w którą stronę powinnam się skierować. I ta presja. To nie mógł być byle jaki projekt, to musiało być coś tak nowego, nieoczekiwanego i działającego, żeby raz na zawsze zatrzeć wspomnienie po niedawnej porażce.

Nikt nie przewidział możliwości, że cały świat może się zapaść i całkowicie anihilować, tym bardziej ja, która była odpowiedzialna za jego projekt. Nikt nawet nie pomyślał, że ktokolwiek może odwalić taką fuszerkę. Nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie, źle go policzyłam, wydarzenie bez precedensu. Na nic piękne konstrukcje i nowatorskie rozwiązania, kiedy zawodzi prosta matematyka. Dla wszystkich, w tym mnie, był to szok tak ogromny, że zanim się otrząsnęliśmy, zbliżał się czas kolejnej Prezentacji. Moja kandydatura została zgłoszona dużo wcześniej i nikt jej w międzyczasie nie wycofał. Kiedy uznano, że nie powinnam być dopuszczona do Prezentacji, było już za późno na zmiany na tym poziomie. Tylko dlatego wciąż nie wyrzucano mnie z pracy. Nie wiem, co byłoby gorsze, pożegnać się z dotychczasowym życiem i pozostawić swój dorobek przykryty kurzem kłęski, czy co działo się teraz, uważne spojrzenia w moją stronę i szeptane za plecami uwagi.



H. Adamska / PLSP w Supraślu

Musiałam udowodnić już nie tylko im, ale głównie sobie, że wciąż potrafię kreować światy, które nie tylko zachwycają na każdym poziomie ich istnienia, ale trwają w czasie i przestrzeni. Ten projekt nie mógł nawet odrobinę przypominać poprzednich, musiał być całkowicie nowy.

Zmarnowałam nieprzyzwoicie dużo czasu pochylona nad pulpitem i nic z tego nie wynikło, potrzebowałam inspiracji. Wyjęłam wszystkie projekty, rozwinęłam je jeden po drugim, napawając się pięknem i geniuszem własnych dzieł. Doskonale pamiętałam każdą myśl, któ-

ra przyświecała konkretnym światom.

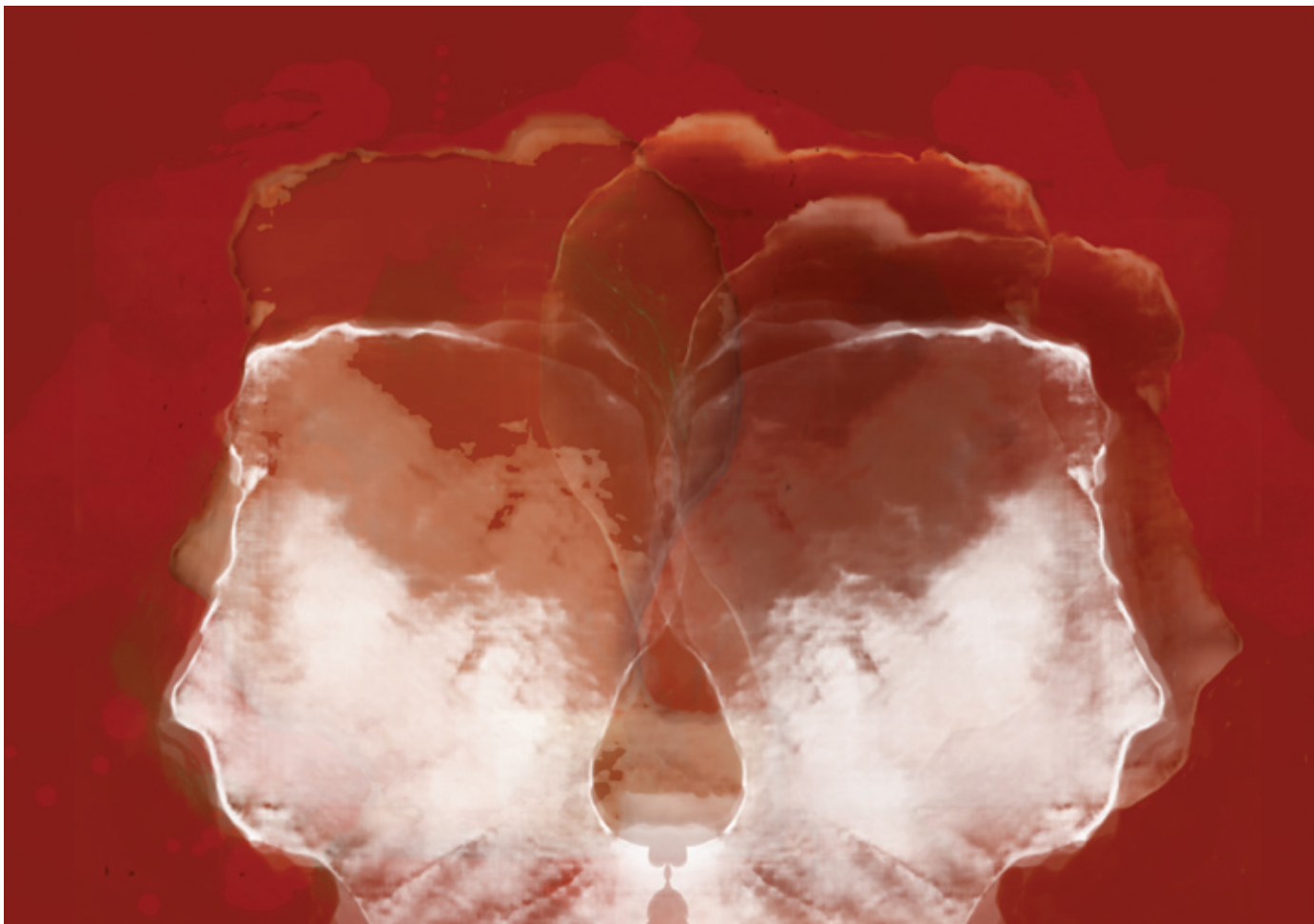
Starannie omijałam wzrokiem rozpościerający się za biurkiem plac budowy. Już dawno zakończono pomiary i wyznaczono kwadryl. Czekano tylko na projekt. Wszystkie działy pracowały pełną parą nad swoimi wizjami tego świata. Byłam pewna, że są już gotowi i z niecierpliwością wyczekują Wielkiej Prezentacji. Tylko ja nie miałam nic.

– Dlaczego to jest takie trudne! – Krzyknęłam ze złością, zrzucając z pulpitu stare arkusze. Załkałam bezsilnie.

Nie pozostanie mi nic innego tylko przyznać się do porażki. Tesejja pewnie

już ostrzyła sobie zęby na moją pozycję, byłam pewna, że swój projekt miała dopracowany do ostatniego miejsca po przecinku. Zawsze była metodyczna i bardzo dokładna, teraz nadeszła jej chwila. Kiedy piękno i finezja umrze, zastąpią je suche liczby i rozwiązania na tyle niezawodne, co nudne i przewidywalne.

Wodziłam smutnym wzrokiem po moim miejscu pracy. Jak ja się stąd wyniosę? Miałam tu tyle rzeczy, drobnych projekcików, które wymyślałam sobie na boku, propozycje nowych światów, które zamierzałam pokazać na najbliż-



H. Adamska / PLSP w Supraślu

szym zebraniu Architektów, konstrukty, schematy układów gwiazdnych, historie światów rozpisane do poszczególnych wymiarów i całe stopy niepotrzebnych śmieci: nieudanych zależności, sprzecznych założeń, niedokalkulowanych praw oddziaływań, przemian materii i energii, porzuconych galaktyk i mnóstwa drobnych schematów, które rysowałam, kiedy nie miałam pomysłu na nic innego.

Wygrzebałam podręcznik ze Spisami założeń początkowych i wytycznych światów według Aramadesa. Lektura obowiązkowa każdego adepta sztuki i swego czasu jedyny zbiór dotyczących jej praw. Od dawna do niego nie zaglą-

dałam. Od jego powstania minęły eony, wiele założeń uległo przedawnieniu, a nasze umiejętności posunęły się daleko do przodu. Był archaiczny i w sposób przestarzały podchodził do samej sztuki, był jednak swego rodzaju biblią tego, co wiedzieliśmy o tworzeniu światów. Doskonale pokazywał, jaką maestrią był proces tworzenia. Zagłębiłam się w jego lekturze.

Czytanie o tym, jakie założenia miały spełniać niegdyś światy, było jak przeglądanie nieaktualnych notatek. Nie potrafiłam wyjść ze zdziwienia, jak mogliśmy tworzyć, mając tyle ograniczeń, a jednak powstawały światy piękne, mi-

sternie utkane wokół praw, jakim podlegały. Gdybyśmy wciąż tworzyli światy według tego podręcznika, życie w nich byłoby ekstremalnie trudne, dlatego też w pierwotnych projektach osiągnęliśmy tak mały odsetek inteligentnych cywilizacji.

Odłożyłam podręcznik i sięgnęłam po porzucone schematy. Zbiory gwiazd, otoczone krążącymi dookoła nich planetami, niektóre w formie całych, wielowymiarowych klasterów, inne ograniczone tylko do płaszczyzny. Większość jest całkiem sensowna, z porządnie przeliczoną fizyką. Nadawałyby się do wykorzystania, jednak do tej pory nie umiałam ich

wpisać w żaden motyw przewodni swoich projektów. Problem stanowiła ich różnorodność, zbiór wszystkiego i niczego zarazem.

Nie miałam serca ich wyrzucić, podzieliłam je więc względem grup. Z każdej wybrałam po trzy płaskie schematy i zupełnie losowo rozłożyłam na arkuszu. Wstępnie przeliczyłam oddziaływania, wyglądało na to, że mogą razem istnieć. Zachęcona sięgnęłam po kolejne.

Im więcej schematów umieszczałam, tym bardziej podobała mi się ta koncepcja – projekt z odpadów. Nie pozwoliłam sobie na zbytni optymizm, musiałam zachować dystans. Każdy nowy obiekt skrupulatnie przeliczałam względem pozostałych i kiedy tylko coś się nie zgadzało, zaraz zastępowałam go innym, bez względu na to jak bardzo mi się podobał w tym miejscu.

Zmieniłam płaski tryb arkusza na wielowymiarową przestrzeń i powoli wpasowywałam kolejne schematy. Szło mi coraz lepiej. Chciałam stworzyć dla nich niebanalną historię, coś znajomego, co odwoływałoby się do początków naszej pracy. Znów sięgnęłam po podręcznik i przekartkowałam go.

Większość, jeżeli praktycznie nie całość podręcznika stanowiły ustawienia początkowe dla światów nieskończonych, tysiące pozycji, miliardy możliwości. Znałam je wszystkie, więc z rosnącą niecierpliwością przerzucałam kolejne strony. Kiedy dotarłam do końca, trafiłam na rozdział, który przez każdego adepta traktowany był jako ciekawostkę, ale nikt nigdy nie przykładał do niego wagi. Jeden rozdział pośród milionów innych, który do tej pory nigdy nie miał zastosowania w praktyce. Jak długo Architekci zajmowali się tworzeniem, tak nikt jeszcze nie sięgnął po założenia dla świata skończonego.

To była myśl, iskierka geniuszu, która zajęła ogniem wszystko dookoła. Pomysł tak inny, tak bezczelny, że od razu poczułam przyływ energii. Skończony świat był tym, czego potrzebowałam w tej chwili. Przyjrzałam się arkuszowi i zrozumiałam, że zielononiebieska przestrzeń zupełnie nie będzie do niego pasować. Potrzebowałam czegoś niekonwencjonalnego.

Z każdą zmianą, z każdą nową myślą rosłam w przekonaniu, że to dobra droga. Po poprzednim projekcie ten musiał być szokiem nie tylko dla innych Architektów, ale też dla członków Wielkiej Komisji. Zakładając, że będzie to moje ostatnie dzieło, to pokażę, na co mnie naprawdę stać, nawet jeżeli nikt poza mną nie będzie umieć docenić jego piękna.

Wielka Prezentacja była ukoronowaniem pracy Architektów. Ich pomysły i wizje zostawały zaprezentowane szacownemu gremium Komisji - Wielkiej Rady Architektów, jednocześnie pozostali Architekci mogli otwarcie podziwiać kreacje twórcze swoich współtowarzyszy. Był to wyczekiwany przez wszystkich moment chwały, ale również niepewności.

Jako że mój projekt został uprzednio zatwierdzony do realizacji, miałam prawo prezentowania jako ostatnia i mogłam przyjrzeć się konkurencji. Najwyraźniej po porażce siedemnastki wszyscy postanowili wrócić do sprawdzonych rozwiązań. Projekt Tesejji był zwyczajnie nudny, chociaż jak zwykle obliczony najlepiej ze wszystkich, co bardzo podobało się Komisji. Świat Heriolita miał jakiś potencjał, który po pewnych ulepszeniach mógłby nawet być ciekawy. Niestety Heriolit, jak i cała reszta, trzymali się bezpiecznych wyborów.

Na tym tle nie sposób było nie wybić się z czymś innym, a mój projekt nie był tylko inny, był wręcz pionierski. Kiedy więc rozbłysła moja przestrzeń, wśród Architektów zapanowała cisza. Widziałam, jak się zastanawiają, co właściwie widzą.

– Jest czarny – pierwsza odezwała się przewodnicząca Komisji.

– Jako ukłon w stronę naszych najpierwszych światów – powiedziałam niezrażona.

Mój wybór został przyjęty pomrukiem zrozumienia.

– Jest mniejszy niż wyznaczony kwadryl. – Uwaga dobiegła z tyłu i od razu podniósł się szmer. Podczas prezentacji Architekci nie mieli prawa głosu, poza prezentującym i członkami Komisji.

– Celowo – odpowiedziałam, zanim przewodnicząca zdążyła upomnieć słuchających. – Zapełnia całkowicie wyznaczony kwadryl.

– Rośnie? – Zdziwiła się.

Aramades, który, od kiedy pamiętam, zasiadał w Radzie wydawał się być wielce zainteresowany i przyglądał się projektowi bardzo dokładnie.

– Na przestrzeni czasu zmienia temperaturę. – Projekt zaczął się przekształcać, w miarę jak mówiłam, na bieżąco ilustrując procesy, jakim miał być poddany. – Najpierw jest gorącą i skondensowaną osobliwością, z której wylania się czasoprzestrzeń, po niej poszczególne układy, które rozrastają się, krzepną i stają się zimne. Kiedy osiąga granice kwadrylu zawija się do środka, jego temperatura znów zaczyna wzrastać, układy tracą stabilność i następuje powrót do osobliwości. To świat ściśle ograniczony czasem i przestrzenią.

– To bardzo śmiały projekt. – Przymrużyła z powagą oczy.

– Zakładam, że jakoś się nazywa – zapytał Aramades.



H. Adamska / PLSP w Supraślu

– Wszechświat – odpowiedziałam błyskawicznie, chociaż pomysł nazwy pojawił się dopiero teraz. Członkowie Komisji pokiwali głowami w zamyśleniu. – Do projektu załączyłam listę układów, z których złożony jest... Wszechświat. Znajdują się tu bardziej i mniej skomplikowane gwiazdo- i planetozbiory, systemy podwójne, potrójne i wielokrotnie złożone, obiekty, w których poszczególne wymiary się łączą i nie tylko. – Rozłożyłam projekt na poszczególne składowe, które Komisja teraz dokładnie sprawdzała. – Chciałabym zwrócić uwagę na drobne detale. – Uśmiech-

nęłam się zachęcona ich zainteresowaniem. – Układy są widoczne z różnych miejsc we Wszechświecie i w zależności od jego wieku ewoluje ich wygląd. One też rosną, zmieniają się siły oddziaływań w nich, z niektórych powstają nowe, a inne ulegają przekształceniu.

Zainteresowanie Komisji jeszcze bardziej wzrosło.

– Jaki jest sens tworzenia świata, jeżeli jego jedynym celem jest anihilacja? – Głos Tesejji zapoczątkował rosnący szum.

– To jednorazowy spektakl.

– Wszystkie cywilizacje są skazane na zagładę! – krzyknęła oburzona. Pozo-

stali Architekci zaczęli szeptać głośniej. – Nigdy w historii Wielkich Architektów nie było sytuacji, w której świat byłby z góry skazany na klęskę.

– Nigdy nie było, co nie znaczy, że jest to wbrew zasadom – powiedziałam spokojnie, odwracając się do niej.

Członkowie Komisji zaczęli rozmawiać między sobą i tylko Aramades wciąż patrzył na mnie. Kiedy szum rozmów zagłuszył już wszystko inne, wstał, od razu zapadła cisza.

– Nigdy nie stworzyliśmy świata, którego zagłada byłaby wpisana w jego istnienie. Do tej pory wszystkie nasze

kreacje były skupione na procesie tworzenia i obserwacji. Założenie o skończoności świata sprawia, że nasza praca wydaje się nie mieć żadnego sensu. Po co kreować świat jeżeli jego jedynym celem jest jego koniec? – Poczulałam, jak miękną mi nogi. – Skończoność jest zimna, nieunikniona, tragiczna. Tworzymy światy, których istnienie napędza nas radością, z których precyzji i finezji możemy być dumni, ponieważ trwają. Świat dążący do zagłady może być postrzegany jako nasza klęska, jakbyśmy nie potrafili wykreować niczego trwałego. – Zamilkł na dłuższą chwilę, a nikt nie odważył się odezwać. – Pozwalamy naszym światom na rozwój, obserwujemy ich historie, zapisujemy wyniki i na ich podstawie tworzymy kolejne, doskonalsze, bardziej skomplikowane. Nigdy jednak nie stworzyliśmy czegoś, co od początku do końca podąża naszą ścieżką. Zostawiamy światy, kiedy proces tworzenia dobiega końca, od tego momentu jesteśmy już tylko biernymi obserwatorami. Ograniczamy się do początku. Wszechświat jest projektem, w którym również my odpowiadaliśmy za koniec. Do tej pory skupialiśmy się na istnieniu światów, ich funkcjonalności pod kątem zamieszku-

jących je cywilizacji i w tej dziedzinie osiągnęliśmy mistrzostwo, ale praca Architektów nie polega na byciu mistrzami, tylko na przesuwaniu granic naszych umiejętności. Być może nadszedł czas, żebyśmy skupili się nie tylko na tworzeniu, ale również na procesach, jakim nasze światy podlegają. Wszechświat jest skazany na zagładę, jednak będzie to nasza zagłada.

– A cywilizacje? – Dobiegło zza moich pleców i nie był to głos Tesejji.

– Prawdziwe piękno docenia się tylko wtedy, kiedy przemija.

Usiadł, zapadła całkowita cisza. Kiedy wracałam na swoje miejsce zerknęłam w stronę Tesejji, jej twarz była sinoniebieska. Członkowie Komisji wymienili się myślami, po chwili przewodnicząca wstała i ogłosiła decyzję.

– Rada Wielkich Architektów w głosowaniu dokonała wyboru projektu, przyznając prawo wykonania Wszechświatowi.

– Mój arkusz zalsnił pośród pozostałych projektów. – Otrzymuje on status: do wykonania. Rada również przyznała mu trzy etapy istnienia: Wielki Wybuch, Nieuniknioną Ewolucję oraz Wielki Krach.

Nie pamiętam, czy czułam radość z wygranej, satysfakcję z udowodnienia

sobie i innym, że jednak potrafię tworzyć, czy ulgę z zakończenia jednego z najtrudniejszych momentów w mojej karierze. Siedziałam nieruchoma, zastanawiając się, co teraz. Prezentacja dobiegła końca, Architekci ruszyli do swoich pracowni. Część stłoczyła się dookoła mnie, gratulując zwycięstwa.

– Odważny projekt. – Tesejja odezwała się, kiedy pozostali odeszli. – Udało ci się.

– Postanowiłam wrócić do podstaw. – Uśmiechnęłam się, czując, jak dopada mnie zmęczenie.

– Koniec świata to coś nowego – powiedziała z udawaną uprzejmością. – Oby w tym Wszechświecie nie pojawiła się żadna inteligentna cywilizacja, szkoda by jej było.

– Na szczęście to nie mój problem. – Wzruszyłam ramionami. – Widzimy się na kolejnej Prezentacji?

Wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu i odeszła bez słowa. Spojrzałam na wciąż jeszcze pusty plac budowy, za niedługo zaroi się tam od Budowniczych.

– Wielki Wybuch, co za durna nazwa – mruknęłam do siebie i ruszyłam w stronę pracowni.

BARBARA GORZAWSKA

– autorka opowiadań, laureatka konkursu Fabryki Słów „Ostatnia cytadela” na opowiadanie z gatunku fantastyki postapokaliptycznej (2017), wyróżniona w konkursie na opowiadanie kryminalne (2018). Autorka *Śledztwa w sanatorium* (2019), a od pamiętnego marca 2020 roku także

autorka bloga „Dziennik czasu zarazy, czyli Covid-19 w Szwecji”, z przymrużeniem oka opisującego paneuropejskie zmagania z pandemią. Okazjonalnie publikuje na Wattpadzie oraz udziela się pisarsko w przedsięwzięciach non-profit. Pochodzi z Rybnika i gdyby nie życiowa

ciekawość, żyłaby tam do dzisiaj. Podążając za głosem przygody, wyjechała do niewielkiej wsi na granicy francusko-szwajcarskiej, którą w środku szalejącej pandemii opuściła na rzecz Szwecji. Lubi spędzać czas sama, gotować, malować i majsterkować, nie lubi za to jazzu, czekolady i nie pije kawy.